Rozmaitości

Dnia 30. Lipca Nr 31. 1836 Roku.

SAMUEL BACH, KSIĘGARZ.

Jako przedmowa do dzieła: *Il Vivere*, napisanego przez Teofila des Ferrieres.

PORTRET.

Smutna to jest rzecz urodzić się 1. czerwca 1763 r., zwłaszcza kiedy kto pomyśli sobie o tém w r. 1836; kiedy już popełnił głupstw co nie miara, i kiedy widział, jak drudzy je popełniali.

»Jakto!« rzekł malarz, »jakto panie Samuelu!« To mówiąc, ruchem podziwienia trącił o podstawę, na której stał portret.

Obraz się przechybnął; chciałem go schwycić, lecz upadł; niechcący nań stąpiwszy, rozdarłem płótno; »Do licha! jakie nieszczęście!« zawołałem. Byłto mój portret, już skończony. Wyobrażałem sobie, jakie to będzie dla duszy mojéj wesele, widziéć się wywieszonego w obrazie w galeryi Louwru.

»Musisz się wćpan wyrzéć teraz téj pociechy,« rzekł malarz, trzymając pracę swoję na kolanach.

Wziąłem malowidło, zacząłem dotykać się zranionego miejsca, i chwaliłem, ile mógłem, ale cóż ja tam widziałem? oto nic, tylko samę zasługę, która teraz zamordowaną została, a to jeszcze, niestety! w przytomności ojca swego.

Trafiony byłem do przemówienia; taż sama czerwona peruka, mój frak brunatny, trzcina pod pachą, kapelusz w ręce, głowa do góry, moja twarz karmazynowa, mój nos potężny, a pod spodem: *P. Samuel Bach, księgarz.*

O nieszczęśliwa gwiazdo! o przeznaczenie!

BARON.

...Jako!« rzekł malarz, »jako panie Samuelu Bach, wćpan popełniałeś głupstwa!...« Spojrzałem na portret. »I widziałeś, jak je popełniali drudzy?...« Ja ciągle patrzyłem w portret.

»Rozumiém,« rzekł malarz; »książki autorów wćpana były głupstwami, na jakie patrzyłeś, a drukując je, sameś popełniał takowe.«

»Mości Lionel,« rzekłem z godnością, »nie zawszeć ja bywał księgarzem. Byłem młodym, bogatym, a wtedy nazywano mię Samuelem baronem de Bach.«

»Jako!« rzekł malarz, »wćpan jesteś baronem?«

Bez wątpienia. Marszałek książę Richelie był jednym z drużbów na weselu mojéj matki; pan Wolter napisał dla niéj pieśń weselną; pan Fontenell nie raz trzymał mię na swoich kolanach, i nie raz kłułem szpilkami fałszywe łytki owego tłustego sowizdrzała Grimme.

»A zatém, panie Bach,« rzekł malarz; »musiałeś znać Jana — Jakuba!...«

»Widziałem pana Russo raz u mojéj matki; czysty szkolny żak z siwą głową, bojaźliwy i niezgrabny. Zachciało mu się spiéwać: wywrócił świécę na fortepian, i osmalił korónki mojéj ciotce, która mu chciała wtorować.«

»Tedy w saméj istocie,« rzekł malarz, »wćpan byłeś baronem?«

»Byłem nim, mój panie, i teraz mam lat 72, i popełniałem głupstwa, i widziałem jak je drudzy popełniali, a to jeszcze za owych czasów, w których anim myślał, że kiedyś będę księgarzem.«

MOJE GŁUPSTWA.

Pierwszem głupstwo popełnił,żem się ożenił; drugie, żem po śmierci żony, znowu się chciał ożenić; a największe, żem się ożenił w istocie po raz drugi... Nie byłem ja ze wszystkiém szpetny, mimo moich rudych włosów, oczu zyzowatych, i nosa jak u papugi, byłem dość przystojny; z tém wszystkiém nie śmiałbym ręczyć, aby moja piérwsza żona: gdyby była dłużéj pożyła... lecz najlepiéj, dajmy

pokój umarłym... Zawsze byłem poważny, stateczny, i dzięki Bogu, nigdym na świat nie patrzył okiem poety!... Nie wiém dla czego piérwsze moje ożenienie zrobiło mi w świecie sławę człowieka pięknych sentymentów.

Pewna młoda wdówka, margrabina de B*, lubiła czytać romanse, lecz nienawidziła tańców, zabaw; wzdychała, jęczała, i mówiła kwiecistym językiem o czystéj i wiernéj miłości. Boufflers robił do niéj wiérszyki, a Lauzun zalecał się. Byłato najpiękniéjsza, najsmaczniéjsza wdówka z milijonem posagu.

Jednego dnia rzekła mi: »Panie Bach, nigdy ja nie stracę głowy dla którego z owych dworskich fiutyńców ładnych, wymuskanych; bo czuję, że z największą namiętnością kochałabym i najszpetniéjszego człowieka, byle jak ów Amadys miał duszę romansową.«

Nazajutrz rzekł do mnie Bezenval: »Margrabina szaleje za tobą.«

Wkrótce przekonałem się, że Bezenval prawdę mówił. Jakżeż byłem zachwycony! Partyjato wyśmienita; jako człowiek rozumny nie chciałem jéj z rąk wypuścić, i pewnego razu rzekłem do margrabiny: »Zacna pani! piérwsza moja małżonka byłato przesadnych myśli istota, a twój piérwszy małżonek stary Argus. Ze mnie zaś dobry człowiek na męża, ani zazdrośny, ani zrzędny, uczciwym sobie szlachcic, na świat patrzę jak filozof, i, ile postrzegam... Pani byłabyś jak raz dla mnie. Uczynię ją szczęśliwą; chceszże mnie na wzajem szczęśliwym uczynić?«

Ten komplement gładkom wypalił, margrabina zarumieniła się i przygryzła usta; mówiła mi wiele o poezyi, o muzyce; z wielkim dowcipem, i z pamięci przytoczyła mi bajkę Lafontena: Delfin i małpa.

W osiem dni potém w całym Paryżu gadano o jéj zamęzciu z pięknym Medorem M*, a Bezenval rzekł do mnie: »Mój stateczny Samuelu, głupioś się znalazł z margrabiną!«

MOJE DALSZE GŁUPSTWA.

Bezenval miał słuszność; romanse, i to romanse pasterskie i sentymentale, były w ówczas w modzie. Grimme umiérał śmiercią romantyczną z nieprzystępnéj dzikości panny Fel, jak ów karp; który się poci; Russo w swoim sześćdziesiątym roku odbiérał za cierpkie pocałunki, grymasy spazmatycznéj miłości. Mój kum Tressan wydał *Amadisa;* czytałem *Amadisa* i nową *Heloizę*, i postanowiłem zostać drugim Saint-Preux, i drugim *pięknym zapaleńcem*, ponieważ byłto jedyny środek zrobienia fortuny.

Pani R* była z wielkiego świata, kibić miała najsmukléjszą i nóżkę drobniutką; jéj włosy upudrowane, w tyle głowy zebrane, i w kędziory rozpuszczone, nadawały jéj czołu, oczom i ustom szczególnego wdzięku... coś czarowniéjszego nie widziałem nigdy. Każdego rana w łóżku, w nocnym dezabilku przyjmowała kwiat pięknego paryzkiego świata, a wieczór, pokazywała swoje diamenty przy stole i na operze. Najpiękniéjszą namiętnością zapłonąłem ku pani R*, ale tą razą chciałem już korzystać z mojego doświadczenia: wzdychałem, jęczałem, gruchałem czuléj niż trukawka i wszyscy bohatérowie romansów. Będąc z nią sam na sam, nie śmiałem nigdy prosić ją o co, a w towarzyskiém gronie miałem się już za najszczęśliwszego, jeżelim jéj rękę w rękawiczce uczuł przez moję rękawiczkę. Są ludzie, którym zawsze nieszczęśliwa gwiazda świéci! Jam w ciągu romansu rozwiązywał zagadnienia rachunkowe, i wzdychał jak Tyrsys, miasto pokazać się Herkulesem.

Pewnego wieczora powiedziano mi, że Mirabeau jeździł z panią R* w jéj powozie, i że się przechwalał... Nie chciałem więcéj słyszeć o tém, wykrzyknąłem: »Mirabeau błaznem!« i poleciałem czém prędzéj do pani R*. Lecz ta zacna dama właśnie co wyjechała do Londynu, a to z pewnym młodym chorążym dragonii królewskiéj.

ZAWSZE I ZAWSZE GŁUPSTWA.

Pokazało się, że nie byłem szczęśliwy do kobiét. Odbiéram list od mego wuja Chevalie'go; odkrył on jakiś skarb, brylant, perłę panien na prowincyi, i jako dobry wujaszek wzywał mię, abym co prędzéj wziął pocztę i przyjechał do niego.

Położenie moje było, że gdyby było można, byłbym się i z samym diabłem ożenił. Usłuchałem wuja i ożeniłem się z jego fenixem. Byłoto maleńkie stworzenie *Brives la Gaillarde*, które mi przyniosło pięć tysięcy kuzynków, i tyleż powinowatych, bez grosza posagu, i zamczysko w górach, dokąd tylko na koniu można było się dostać... Nasycony wielkim światem i Paryżem, osiadłem w zamku; jadłem kasztany, szczwałem wilki, piłem wino

z Bergerac, i wykrzykałem: Nié masz jak życie patryjarchalne!

Pisano wtedy r. 1789; wszyscy moi sąsiedzi uchodzili za granicę; moi chłopi pozabijali mi wilki, chowane w moich murach; jeden z nich nawet odważył się poczęstować mię tabaką; coraz nudniéj było mi na wsi. Pozostał mi jeden przyjaciel; onto dodawał odwagi mojéj żonie; lecz gwałtem się upiérał, abym wraz z drugimi jechał do armii Kondeusza. Ja zaś przeciwnie sądziłem, że kto chce swego dobra bronić, niech go pilnuje na miejscu, pamiętając na przysłowie: Kto z płacu zchodzi, traci go. Pisano do mnie grożące listy, a jam się nie ruszył. Doniesiono mi, że chłopstwo przekopało groble moich stawów, i że mi wykrada ryby. Stanąłem na czele ludzi dworskich, idę z pistoletami w ręku, ale zastaję tylko kilkanaścioro dzieci, które natychmiast, postrzegłszy mię, uciekły. Powróciłem do siebie.

Przyjaciel mój przyszedł wieczorem: »Panie Bach, cożeś uczynił? Zaburzenie panuje w całéj okolicy, jeżeli nie odjedziesz jeszcze téj nocy jutro, zamordowany będziesz.«

Wziąłem kilka luidorów do kieszeni, kazałem osiodłać dwa koni, i spieszyłem wraz z moim kamerdynerem połączyć się z sąsiadami, którzy wyemigrowali. We dwa dni potém, żona moja wzięła rozwód ze mną; mój zacny przyjaciel mianowany został dowódzcą gwardyi narodowéj, a obywatelka Bach, oddała mu swoję rękę.

SKRZYPCE.

Najbliżéj miałem granicę włoską. Stanąwszy w Chambéry, postrzegłem, że mi się worek wypróżnił. Nie było sposobu dostać pieniędzy; majątek mój zabrano na skarb i sprzedano żonie mojéj, co wszakże nie czyniło mię bogatszym. Zapłaciwszy służącemu, zostałem przy dwóch luidorach.

Nie jeden z emigrantów znajdował się w témże samém opłakaném położeniu; jedni w łby sobie postrzelali, drudzy poumiérali ze zgryzoty. Nie chciałem ani tym, ani owym sposobem zakończyć mego życia; zawsze byłem filozofem. Lubię spotykać coś nowego, niespodzianego, czyto złe, czy dobre, murawa czy skała, strumyk czy rzéka. Niedolę swoję wyobrażałem sobie jak szałas spotkany w górach w podróży, i tylko o tém myślałem, jakby go najwygodniéj na gospodę urządzić. Dziś wielki pan, jutro czyszczę bóty, jestże w tém co okropnego, zwłaszcza kiedy zdrowie mi służy, a serce nie zranione? Życie pokazuje się we wszystkich swoich przemianach; a poprawdzie, w téj wielkiéj podróży, należałem do tych, których Sterne umieścił w liczbie ciekawych podróżników. Przekonałem się z doświadczenia, że te wszystkie zmienne koleje mojego losu, ani mi nawet skóry nie zadrasnęły, kiedy najmniéjsza rana serca, krwawo i srodze mię dojmowała. »Bądź co bądź,« rzekłem, »zawsze sobie jestem baronem Bach. Żyję w kraju obcym, tém ci lepiéj! przynajmniej nie będę się wstydził, że świecę łokciami. Nié mam złamanego szeląga, cóżto szkodzi! człowiek zawsze zarobi sobie na życie.«

W Chambéry zastałem kilku francuzkich emigrantów. Hrabia R. założył kawiarnię, margrabia L. wydawał tygodnik, wicehrabia P. miał teatr marijonetek. Przyszło mi na myśl, że nie zgorzéj umiałem grać na skrzypcach. Obwieściłem mieszkańcom Chambéry w dzienniku margrabi L., że baron Bach dawać będzie koncert na teatrze wicehrabiego P., i że hrabia R. dostarczy chłodzących napojów. Całe miasto zbiegło się na koncert; tym sposobem żyłem czas niejaki ze skrzypców, które kosztowały dwa talary.

USTĘP.

Może być, że przez wdzięczność, lecz ubóstwiam skrzypce. Jestże jaki instrument, któryby, wyjąwszy głos ludzki, łączył jak one, wdzięk z siłą, słodycz z przenikającémi dźwięki? W skrzypcach, sama mieszka melodyja, w nich dusza brzmiąca, która jęczy, drzy, która z nieskończoną słodyczą przedłuża ten sam dźwięk już konający i rosnący znowu. Na wyraz gniewu mają one potężne wirowanie tonów; na igraszki i skoki, trzydzieści dwa szczeble w szczeblicy nótowéj. W skrzypcach żyją harmonijne dźwięki, naśladujące odgłos rogów; mają one cztéry struny, jedna głęboka i poważna jak fagot, druga pieściwa jak fletnia; ta znowu naiwna i wieśniacza jak oboj, a ostatnia, szklanno-dźwięczna jak piosnka słowika. Wierzę malowidłom średniego wieku, przedstawiającym Apolina, grającego na skrzypcach, i błogosławię panowaniu Karola IX., za którego ten instrument wprowadzono do Francyi.

O błogosławione skrzypce! o zbawce moi! długi czas królowałyście w muzyce; lecz oto spotkało was przeznaczenie królów, fortepian zrucił was z tronu. Jako! rozum miałżeby serce tronu pozbawić? Jeniusz muzyczny każdego narodu możnaby osądzić po jego zamiłowaniu do jednego z dwóch instrumentów, do skrzypców lub fortepianu: Włochy jedynym są krajem w Europie, gdzie najlepiéj na skrzypcach grano. Corelli, Tartini, Pugnani, Viotti, sąto imiona włoskie; muzyka włoska jest samą melodyją i spiéwem. Niemcy jedynym są krajem w Europie, gdzie najlepiéj na fortepianie grano. Moscheles, Hummel, Kramer, sąto imiona niemieckie. Muzyka niemiecka jest harmoniją i tonowaniem.

Jenijusz muzykalny jakiéj epoki osądzićby można z zamiłowania do jednego z tych dwóch instrumentów, skrzypców lub fortepianu.

Fortepian w naszych czasach zadał cios śmiertelny skrzypcom; jestto znamię charakterystyczne. Panownanie w muzyce przeszło od małéj piosenki do kontrapunktu; jestto zwycięztwo Gluck'a nad Piccini'm, Mehul'a nad Paësiel'em, Bethoven'a i Weber'a nad Rossini'm; jestto zmiana dynastyi w królestwie pojedyńczo i podwójnie wiązanych nót, zmiana nieuchronna, która dopóty potrwa, dopóki nie zawiąże się przymierze rozumu ze sercem, filozofii z religiją, zachodu ze wschodem, Niemiec z Włochami, skrzypców z fortepianem.

ZAWSZE I ZAWSZE GŁUPSTWA.

Przebieżałem Włochy z mojémi skrzypcami. W Medyjolanie akompaniowałem siniorze Cavatina, grającéj zachwycająco na klawikorcie. Lecz co mię najwięcéj zachwyciło w seniorze, to jéj czarne oczy ogniste i mdlejące, rzucające na przemian to łzy, to łyskawice z pod długich rzęs, najdłuższych i najczarniéjszych jakie w życiu widziałem. Nieustannie mówiła ze mną o swojém *amore*, *cuore*, *fuoco*, *fiamma*; wzdychała, płakała, zwieszała główkę i patrzyła w niebo.

»Och!« mówiła do mnie, »kochać i nie być kochaną!... Nie być tylko kobiétą, i nie módz piérwszéj przemówić: »Ubóstwiam cię, tyś mojém bożyszczem, mojém życiem, *mio idolo, mia vita!*« Inną razą mówiła do mnie: »Włoszki lepiéj niż Francuzki umieją kochać, lecz zato Francuzi są przyjemniejsi od Włochów.« Albotéż: »Mówią, iż wy Francuzi jesteście najlekkomyślniéjszym narodem na świecie. Znałżeś wćpan margrabiego M... we Francyi? margrabia M... przyjechał teraz do Medyjolanu. Nie prawdaż, że to bardzo lekkomyślny człowiek? Czy wszyscy Francuzi są do niego podobni?«

Oho, pomyślałem, siniora szaleje za mną! Ona jest doprawdy piękną ta siniora... na fortepianie gra z duszą, z wyrazem!... Ach, siniora, siniora!

Bardzo często wtórowałem siniorze Cavatina, przygrywałem jéj na skrzypcach, spiéwałem romance. Ona bladła, rumieniła się, wdzięczne promyki błyskały z pod jéj powiek wilgotnych, ciągle mówiła ze mną o Francyi i Francuzach. Widoczna rzecz była, że wielką namiętność ukrywała w sercu.

Zakochałem się w rozkochanéj siniorze. Zbrzydziłem sobie westchnienia i skargi rycérzy i pastuszków, których głupią rolę dotychczas grałem, i postanowiłem użyć prawa odwetu. Ta kobiéta, rzekłem, ubóstwia mię; zmuszę ją, aby mi to wyznała sama, teraz na mnie kolej być okrutnym. Jak tylko mi wynurzy swoję namiętność, wtedy jéj prawdę odkryję, że ją kocham. Co za przedziwny pomysł!

Pewnego razu rzekłem jéj: »Siniora! u was Włoszek, życie wasze wewnątrz się odgrywa; podobneście do wulkanów; za najmniéjszém wzruszeniem w głębokościach duszy waszéj, wybucha lawa i płomień. Umiecie płakać tylko gorącémi łzami, śmiać się na całe gardło, a wszystkiemu winno wasze słońce. My zaś dzieci północy mamy cichszą naturę i serce lepiéj schowane. Nié masz harmonii między nami i wami. Nabawiacie nas trwogą.«

Signora słuchała mię z jawném udręczeniem, a kiedym skończył, zbladła, kropliste łzy polały się z jéj oczu, i taki okrył ją rumieniec, że byłaby wpadła w mdłości, gdyby nie była otworzyła okna, dla nabrania świéżego powietrza. Wróciłem do domu, wyrzucając sobie wielkie okrucieństwo ze swojéj strony. Biédna kobiéta, rzekłem, ileż ona ciérpi, a jak mię kocha zapamiętale! Poczwara ze mnie. Pójdę jutro do niéj, padnę do nóg... oświadczę się...

Nazajutrz przyszedłem do signory Cavatina, gdzie zastałem kilka osób. Brambilla spiéwała przy fortepianie, a signora toczyła rozmowę z pewnym młodym mężczyzną, którego

jeszcze u niéj nie widziałem. Tak głęboko zapuścili się oboje w rozmowę, że nawet nie postrzegła mego przybycia, chociaż lokaj głośno i dobitnie oznajmił: »*Il barone di Baccho!*«

Przybliżyłem się do owéj pary i oddałem ukłon siniorze, na który mi odpowiedziała lekkiém skinieniem głowy, nie przestając mówić z nowo przybyłym. Odwróciłem się i rzekłem do Brambilli: »Któż jest ten młodzieniec.« Dała mi znak, abym z nią poszedł w drugi koniec salonu, i rzekła mi pod wielką tajemnicą: »Jestto margrabia M..., który powrócił. Siniora Cavatina niezmiernie tęskniła za nim. Kocha się w nim zapamiętale. Przed jego odjazdem nie było między nimi mowy o miłości; lecz teraz sądzę, że sobie powiedzieli wszystko.«

»Czy tak? no, proszę!« odrzekłem z uśmiéchem, udając obojętnego, »ktoby się był spodziéwał moja pani Brambilla! *A propos*, jak się pani Paësello podoba? Nie prawdaż młody ten człowiek ma talent, wielki talent?«

Wziąłem kapelusz, laskę, skrzypcę, i wyszedłem na ulicę, ze świętém przedsięwzięciem nie stosować do siebie na przyszłość ani westchnień, ani łez takich kobiet, które tęsknią za jakim margrabią M...

(Dokończenie nastąpi.)

KORSARZ.

Z Revue des deux mondes.

Karol Cornic urodził się w Matlaix. W młodzieńczym jeszcze wieku dowodził okrętem korsarskim swojego ojca, a opływał na nim morza indyjskie, i bił Anglików, gdzie tylko ich zastał. Minister marynarki na odgłos jego nadzwyczajnych czynów, postanowił powierzyć mu wielką wyprawę. Tym końcem polecił mu pod prostym tytułem porucznika okrętowego, lecz bez właściwego umieszczenia go w służbie morskiéj, co z resztą mało obchodziło dzielnego Cornic, dowództwo fregaty *Felicité*. Cornic wypłynął z Brestu, eskortując okręt *Robuste* do Martyniki. W drodze spotkał się on z angielskim okrętem korsarskim *Orzeł*, o 28 działach, natarł nań, zahaczył, i po bitwie półgodzinnéj zdobył. Powracając do Francyi zastaje port Brestu blokowany przez eskadrę angielską. Cornic, bez długiego namysłu, uderza na najbliższą angielską fregatę *Tamizę*, która go przyjmuje ogniem wszystkich dział; na to odpowiada tak dzielnie, że nieprzyjacielska fregata zaczyna już wody nabiérać, a sam puszcza się ku korwecie *Rumbler*, która go rzęsistym uprzedziła ogniem; Cornic dopuścił ją na długość okrętu, poczém tak skuteczne zaczął sypać wystrzały, że *Rumbler* już prawie zaczynał tonąć, gdyby mu korweta *Alcide* w pomoc nie była nadbiegła; teraz *Felicité* wzięto we dwa ognie, i walka wszczęła się mordercza. Z podziwieniem postrzegł Cornic, że ogień jego fregaty coraz ucichał, a w końcu ustał zupełnie. W tém doniesiono mu, że wszyscy jego oficérowie śmierć ponieśli, i że żołniérze nie odbiérają żadnych rozkazów; w téjże samej chwili kula angielska zerwała flagę francuzką. »Zwinęliśmy flagę!« powstał okrzyk w bateryi, i kanonierowie lonty rzucili w morze. Anglicy, nie słysząc już ryku dział nieprzyjacielskich, a widząc, że flaga francuzka nie powiéwa, przekonani, że *Felicité* chce się poddać, strzelać przestają. Cornic wpada do swojéj kajuty, porywa nową chorągiew, sam ją zawiesza, i do swoich woła: »Ognia chłopcy, ognia! dopóki jeden z nas na fregacie zostanie. Chorągiew wasza powiéwa, a kapitan wasz przy powinności stoi!« Na tę odezwę zabrzmiał okrzyk donośny, i znowu zaczyna się bitwa zaciętsza niż wprzódy; nie długo wszakże dotrwały angielskie okręty, bo uszkodzone pożeglowały ku Plymouth, gdy tymczasem *Felicité* pełnémi żaglami zawinęła do Brestu. W nagrodę tego bohatérskiego czynu mianowano dzielnego korsarza rzeczywistym porucznikiem marynarki, co tak mocno obraziło drugich oficérów od służby morskiéj, że go wsadzili do *kwarantany*, to jest: żaden z nim nie przystawał, ani mówił, ani się nawet mu kłaniał. Pod owe czasy admirał Rodney blokował Havre-de-Grace na czele bardzo licznéj eskadry, co sprawiło w téj twierdzy wielki niedostatek zapasów prochowych. Aby jéj takowych dostarczyć potrzeba było dwom okrętom francuzkim przebić się przez całą angielską flotę. Niebezpieczne to dzieło polecono śmiałemu Cornic, w nadziei, że niecierpiany ten awanturnik głową swoją nałoży. Cornic bez szemrania poddał się pod rozkazy, i wypłynął okrętem *Agathe* i swoją *Felicité* z Brestu. Przybliżywszy się do angielskiéj floty, okręt *Agathe* z francuzką banderą, udawał, jakoby od fregaty *Felicite*, mającéj banderę angielską, był ścigany. Anglicy, mniemając, że okręt angielski w pogoni za francuzkim, przepuścili obadwa bez przeszkody, lecz gdy *Felicité* minęła już ostatnią linię angielskiéj eskadry, Cornic wywiesił francuzką banderę, dał ognia ze wszystkich dział na Anglików, i wraz z drugim okrętem szczęśliwie do portu zawinął. W nagrodę tego śmiałego kroku spodziéwał się Cornic, że postąpi na stopień kapitana, lecz nieprzyjaciele jego tak umieli zaintrygować, że waleczny żeglarz boleśnie dotknięty, podał o uwolnienie swoje od służby.

Kupcy bretańscy, chcąc mu wynagrodzić tę niewdzięczność rządu, uzbroili okręt korsarski *Prometeusz*, i zrobili go na nim dowódzcą. Cornic płynie do Indyjów, natrafia na *Ajaxa*, angielski okręt o 64 działach, i zdobywa go. Dwunastu francuzkich oficérów morskich, w tych liczbie pan Bussy, znajdowało się w niewoli na pokładzie tego okrętu. Wyobraźmy sobie jakie było ich podziwienie i pomieszanie, gdy w swoim wybawcy poznali człowieka, którym zawsze gardzili; zaledwie zdołali wybąknąć bez związku kilka podziękowań i pochwał, na które Cornic pokłonił się i odpowiedział z ironiją: »Zbytto wiele zaszczytu dla lichego korsarskiego kapitana, że mu się udało wytrzepać Anglików, którzy śmieli francuzkich oficérów pobrać w niewolę. Spodziéwam się, że wćpanowie téj mojéj śmiałości za złe nie weźmiecie.« Mieszkańce Brestu powracającego korsarza przyjęli z okrzykami radości, szczególniéj gdy się rozgłosiła jego obojętność o zysk własny; albowiem cały ładunek *Ajaxa*, na którego pokładzie znajdowały się nawet dyjamenty, wartujące 5 milijonów franków, oddał w ręce towarzystwu, które uzbroiło fregatę *Prometeusz*. Jednogłośne ubóstwienie tego człowieka pobudziło tém bardziéj wściekłość jego przeciwników, którzy postanowili zemścić się na nim okrutnie.

Pewnego dnia siedmiu oficérów od marynarki zastąpiło mu drogę w porcie; z ich groźnych oczu wyczytał Cornic, jaki knowali zamiar, i odezwał się szyderczo: »Mości panowie, jeżeli macie co do mnie? służę im.« Ton jego śmiały jeszcze więcéj pobudził ich do złości; wszyscy siedmiu domagali się krwawéj rozprawy za jakąś urojoną obrazę. »Najchętniéj,« odrzekł Cornic obojętnie, i zaprowadził ich sam w osobne miejsce. Rozpoczęła się walka; wkrótce piérwszy został zwyciężony, potém drugi, trzeci, czwarty, a nakoniec piąty. Dwóch jeszcze pozostało, którzy, widząc los swoich towarzyszy, mieszać się poczęli i odwoływać na brak sekundantów, który dopiéro postrzegli: »Ci panowie,« rzekł Cornic ozięble wskazując na rannych, »będą naszymi świadkami,« i wnet ci dwaj ostatni krwawą odnieśli pamiątkę.

Na téj walce skończył się zawód wojskowy Cornic'a; żal po śmierci jego ukochanéj małżonki skłonił go do wystąpienia ze służby morskiéj.

W r. 1770, z powodu wielkiego wylewu Garonny, czytano w gazetach, że pewien stary żeglarz, po daremnych usiłowaniach w nakłonieniu majtków hojnémi obietnicami, aby ludzi, będących w ostatniéj potrzebie ratowali, z pistoletem w ręku zmusił ich, że wsiedli z nim do łodzi, i pomoc ponieśli mieszkańcom zalanéj wyspy S. Jérzego, którzy na drzewa pouciekali, i że tym sposobem udało się mu, w przeciągu trzech dni i nocy, od niechybnéj śmierci wyrwać 600 osób. Szlachetny ten mąż był Karol Cornic. Ludwik XVI. złożył mu podziękowanie własnoręcznym listem; a miasto Bordeaux posłało mu dyplom na honorowego obywatela. Ta walka z falami, zdawało się, że obudziła spiącą odwagę w piersiach starego bohatéra, a przygotowania do mającéj się rozpocząć wojny, podały mu sposobność starania się o miejsce w marynarce. Po dwóch miesiącach otrzymał bardzo grzeczną, lecz odmawiającą odpowiedź. Boleść tego odmówienia dotknęła go głęboko, tak, że wkrótce przyprawiła go o życie.

RĘKOPIS KRÓLODWORSKI.

Znany i ceniony powszechnie zbiór narodowych pieśni czeskich, pojawił się u nas w przekładzie Luciana Siemieńskiego. Tą razą nie jestto ustęp, przełożony dla poparcia pewnych dziejowych, źródłosłownych lub prawniczych twierdzeń, lecz przekład zupełny, wykonany w głównym i najwłaściwszym téj pracy zamiarze: ująć natchnienie wieków ubiegłych, i wydać je w tym kształcie, aby mimo odległość czasu, i zmianę zupełną stosunków, nie przestało być dla nas natchnieniem. Z takowego celu wypłynęło stosowne użycie środków. Tłumacz staje jako pośrednik między wiekiem dzisiejszym, rozwijającym się w całéj pełni życia, a wiekiem, który to dobre, jakie wydał, tak długo w życie i ukształcenie wiekom następnym podawał, iż takowe długiém użyciem ztrawione w istotnych wdziękach swoich przygasło, i w dalekich skutkach swoich dogorywa. W takim stanie wskrzesza on, w coraz niezrozumialszych dźwiękach zaumiérające pomysły, przeczuwa i odgaduje towarzyszącą im piękność zewnętrzną, wybiera z urozmaiconych dziś kształtów i ozdób językowych najstosowniéjsze, a kierując się stale duszą przedmiotu ideą, z samego zniszczenia życie wyprowadza. Że takowe przedsięwzięcie, przypuściwszy nawet największą zdolność i pracowitość tłumacza, częściwo tylko udać się może, wynika z saméj przyrody téj pracy, zależy bowiem w większéj części od przedmiotu. Ta uwaga zastosować się daje i do rękopisu królodworskiego. Pieśni w nim zawarte nie wszystkie są jednakiéj wartości, a i najlepsze z nich (mówię tu o dziejowych) nie są tego rodzaju, aby w dzisiejszym stanie umnictwa, pod pewnym względem nic do życzenia nie zostawiały. Przyczyną tego jest ten przedział czasu, jaki nas od ich powstania przedziela. Przyroda, czyto w tworach umysłowych, czy cielesnych, jest jedna i ta sama. Weźmy, które ze zwierząt zaginionych, i porównajmy je, co do budowy organicznéj ze zwierzęciem dzisiejszém tegoż rodzaju. Poznamy najbliższe ich pokrewieństwo po niezmiennym typie; a jednak ileżto między niemi różnicy! Wszystko, co nas w tam-

tém zajmie lub zdziwi, jego ogrom, siła i muskularność, która się wiekom urągać zdawała, wszystko to odnieść się daje ku stronie czysto-zmysłowéj czyli miąszy, gdy tymczasem sam brak tych przymiotów w organizacyi dzisiejszéj, nadto zgrabność i rozmaitość pojedynczych członków, ściślejsza między niemi harmonija i większa ruchliwość, posuwają się w stronę przeciwną, któréj ostatnią kończynę duchem nazywamy. Nic prawdziwszego nadto, że tak jedno, jak drugie, ze względu na okoliczności jakie ich wydały, i celu na jaki były przeznaczone, równie są doskonałe, z tém wszystkiém, postawiwszy je myślą w jedną kolej, jako rozmaite kształty jednego i tegoż samego wątku, i rozpatrzywszy się w tej sile, która rozmaite twory, po takowych kolejach, jak światy ku przeciwnym biegunom przerzuca, jakże nie dostrzedz w tworach dzisiejszych i większego postępu i wyższéj doskonałości. W dalszém rozwinięciu téj myśli pokazałoby się i stanowisko, z którego na twory dawniéjsze zapatrywać się, i sposób, w jaki z nich głównie użytkować należy. Skończyłoby się na tém, że twór doskonały dzisiejszy, zachowując rys główny tworów dawniéjszych tegoż rodzaju, najściśléj potrzebom wieku swojego odpowiadać powinien; że w układzie jego powinna przeważać idea, a w jego częściach panować zgrabność, rozmaitość i harmonija, z którychby silniéj dusza przemawiała. Że tu już o przekładach, a nawet naśladowaniach nie myślę, każdy zrozumié. Wyznać potrzeba, że aczkolwiek nam opatrzność dawne utwory poetyczne od nie małego już czasu odkryć pozwoliła, użytkować z nich w ten sposób wcale zaniedbano. Dowodem tego jest i niniejszy rękopis. Piękne i dokładne jego wydania, z obszérnémi, niekiedy bardzo trafnémi objaśnieniami, pióra najznakomitszych czeskich pisarzów, świadczą o mocném rozmiłowaniu się tego narodu w rzeczach ojczystych; wszelako nie jestto wszystko, coby w tym przedmiocie zrobić należało. Słusznie winna się wdzięczność temu, kto ziarno pożytecznéj rośliny w czystém i ozdobném naczyniu, na czas długi od zepsucia przechował, ale prawdziwy mędrzec wyjmie je z bogato przystrojonéj skrzyni, gdzieby je prędzéj lub późniéj zniszczenie dosięgło, a zakopawszy takowe w ziemię, wykaże stronę jego nieśmiertelną. Dwadzieścia niemal lat upłynęło, odkąd wynaleziono ten rękopis, wszelako prócz kilku przetłoczeń, wraz z przekładami, i bardzo drobnéj cząstki naśladowań, innego nie wyciągniono zeń użytku. A jednak ważne on w téj mierze obejmuje rzeczy. *Duma* dziejowa, któréj ślady w dawnych zabytkach, tak piśmiennych jakoteż i ustnych napotykamy, spólna jest wszystkim Sławianom. W rękopisie królodworskim znachodzimy pięknie i dobitnie zakreślony jéj charakter. Niczém niezwątlona powaga dziejów osłoniona urokiem podań i zmyśleń narodowych, które jako ciało ku naocznieniu prawdy, nie zaś ku jéj przyćmieniu służą, odznaczają Zaboja, Jarosława i złomek o Oldrzychu, najznakomitsze dumy w tym zbiorze, i oczekują twórcy, któryby je w takiéjże formie, odpowiednio duchowi i potrzebom naszego wieku do życia wywołał. Zjawisko takowe byłoby dla nas tém pożądańsze, gdy z jednéj strony powaga dziejów w nowych utworach, często i niemiłosiernie nadwerężaną bywa; z drugiéj strony pole poezyi u Sławian obcémi, często niewdzięcznémi formami, począwszy od powieści pseudo-birońskich aż do sonetów, tryoletów i szarad, zarzucone, ledwie gdzie nigdzie narodowym kwiatem zabłyśnie. Nie mniéjszéj wartości pod tym względem są tak zwane dumki; wysokie i zachwycające ich wzory widzimy w Jeleniu i Zbichonie. Cieszymy się, że praca L. S. obznajomiła znaczną massę Sławian z takowémi wzorami, co do użytkowania z nich w sposób najlepszy nie mało się przyczyni. Praca ta nosi cechy wysokich zdolności i niepospolitéj wytrwałości tłumacza, a gorące zamiłowanie swego przedmiotu, jakie się na każdéj stronicy przebija, poetyczne stanowisko, jakiego w ciągu téj pracy z oka nie spuszczał, toż liczne jego tu ówdzie rozrzucone uwagi, zdolne są zająć spółziomków, i pożądane skutki przyspieszyć.

Lwów d. 21. lipca 1836. *A. B.*

— Ze Lwowa. —

Nie pomoże nie zaszkodzi. Czy można od zaraźliwych chorób się ochronić? Z ustnego opowiadania starych wiarygodnych ludzi, wspartego na długoletnim doświadczeniu, uważamy, że orzech laskowy przez robaka wytoczonym, napełnionym żywém srebrem, obszyty w kawałek kitajki, albo płucienka, i noszony na szyi, chroni od chorób zaraźliwych. — Tego sposobu używają gospodarze, gdzie zaraza na bydło panuje. Wiercą małą dziurkę bydlęciu w rogu i wpuszczają trochę żywego srebra, bydle takie śród zarazy nie odchodzi. – *Relata referro.* T.

Bazar literacki w Lipsku. Na tegorocznym jarmarku wielkanocnym handel książkowy był dosyć znaczny, a przez koncentracyję interesów w nowo wybudowanym domu giełdowym bardzo ułatwiony. Zagranicznych kupców było 273 (daleko więcéj niż w latach poprzednich). Między innémi: z Austryjackiéj Monarchii było ich 17; z Rossyi, i Polskiéj, 4; z Francyi 3; z Niderlandów 1; z Wołoszczyzny 1; z Danii 1; ze Szwajcaryi 1; z Anglii 1; z Ameryki 1; z Prus 105. Rozchód książek z Lipska cenią w przecięciu na 30,000 cetn., a 1 cetnar na 145 talarów *netto.* Z książek niesprzedanych wraca do Lipska około 8,000 cetn. Roczna sprzedaż książek wynosi do 3,200,000 talarów, a sprzedaż ogólna w miastach niemieckich do 5 1/2 milijona. Książki naukowéj treści mają nie wielki, ale stały pokup; książki lekarskie najbardziéj zakupowano do Austryi i Rossyi. Tegoroczny katalog wykazuje 3,941 książek i map 98, a zapowiada dzieł pod prasą będących 479. Z tych jest 496 belletrycznych, 171 romansów i 50 dramatów; teologicznych 351, filologicznych 311, historycznych 562.

Pomnik Loke'go. Myślto piękna, zaiste, w gmachach uniwersyteckich, gdzie młodzież kształci się na usługę kraju, stawiać pomniki sławnych uczonych i polityków. Częstokroć niespodziéwanym sposobem naukę profesora popiéra niemy posąg przypominający życie pełne trudów, a razem i sławy nieśmiertelnéj. Z tego powodu przypomnimy sobie, że gdy prof. St. Marc Girardin w Paryżu czytał rozprawę o wielkich mężach literatury francuzkiéj, i w uniesieniu wskazał na posąg czcigodnego Fenelona stojący w sali, tak mocne, nigdy niezatarte sprawił na słuchaczach wrażenie, jakiegoby najwymowniéjsze słowa sprawić nie zdołały. Taż sama myśl spowodowała wielu bogatych Anglików, iż rzeźbiarzowi Westmacott polecili wypracowanie posągu sławnego ich ziomka Loke, który umieszczony zostanie w nowym londyńskim uniwersytecie; jest nadzieja, że posągi Bakon'a, Newton'a i innych wielkich mężów oświaty, tamże wzniesionémi zostaną.

Okręt piérwszéj wielkości. Ze wszystkich rzeczy, obudzających naszę uwagę, zdaje się, że nic nie powinno tyle nas zadziwiać, jak żegluga w dzisiejszéj swojéj doskonałości. Najdowodniéj przekonamy się o tém, rzuciwszy wzrok na małą rybacką łódkę, i porównawszy ją z wspaniałym wojennym okrętem piérwszéj wielkości, który 1,000 ludzi z żywnością, napojami, uzbrojeniem i innémi potrzeby na kilka miesięcy, i ze stoma działami, w najodleglejsze krańce świata na sobie niesie. Jeden człowiek w przeciągu 24 godzin potrzebuje 8 funtów żywności, napitku, a zatem w takim okręcie wychodzi

codzień 8,000 funt. Jeżeli okręt zaopatrzony jest na trzy miesiące, podług tego musi dźwigać 720,000 funt. zapasów do życia. Działo 42funtowe waży 6,100 funt., a takich znajduje się zwykle sztuk 28 do 30 na niższym pokładzie; ciężar ten, nie rachując lawet, wynosi 380,000 funt. Na drugim pokładzie stoją działa 30, i 24funtowe, każde ważące 5,100 f., co razem daje 153,000 funt.; waga dział 12funtowych na trzecim pokładzie, których bywa do 28, wynosi 75,400 funt.; a 6funtowych na czwartym pokładzie około 26,000 funt. Policzywszy nadto ładunki do każdego działa, summa pokaże się wyrównywająca wadze samych dział. Pamiętać tu jeszcze potrzeba, że każdy okręt zaopatrzony jest w podwójne żagle, kotwice, liny; daléj w zapasy desek, pakuł, smoły; przytém w bagaże oficerów i żołnierzy, i w tysiące innych artykułów, co wszystko niezmierny ciężar stanowi, który obrachowany wynosi 2,162 beczek wagi, czyli 4,324,000 funt.; a jednakowoż całym tym ogromnym ciężarem tak się łatwo steruje, jak najmniejszą łódką.

W Petersburgu zdarzył się nie dawno podczas zaślubienia pewnéj pary okropny wypadek: Narzeczony, trzymając za rękę swoją oblubienicę, po skończonym obrzędzie stał u drzwi kościelnych i czekał na powóz; w tém przez tłum ludzi przedziéra się jakiś wściekły człowiek, rzuca się na niego, i przebija ostrym nożem. Byłto pułkownik Popow, którego siostra uwiedzioną była przez owego nowożeńca, a któréj wprzódy dał słowo, że się z nią ożeni.

Wynalazek wielkiéj ważności udzielony został towarzystwu badaczów przyrody we Frankforcie; a tym jest odkrycie większéj siły ciśnienia, niż siła prochu i pary. Uczeni znawcy unoszą się nad tém. To tylko z wszystkiego wiémy, że główuym działaczem téj siły jest machina galwaniczna, która z mniéjszym kosztem i niebezpieczeństwem zastąpić może parę.

W Czarnymlesie *(Schwarzwald)* wyrabiają teraz zegary, które za pomocą stosownego urządzenia, przez całą noc mogą nadawać kolebce ruch potrzebny.

Mémorial encyclopedique donosi o piecach ogrzéwanych spirytusem wódczanym *(calorifère à l'esprit de vin)*, fabryki p. Wolff w Paryżu: »Cały aparat waży tylko 6 funtów i łatwo z miejsca na miejsce, nawet po zapaleniu, przenoszony być może. Spaliwszy spirytusu za 4 sous, można w jednéj chwili ogrzać obszérny pokój. Najlepszy użytek z takiego piecyka jest w podróży, albowiem łatwo rozbiéra się na części, i znowu w potrzebie składa; również na wsi podczas chłodnych ranków i wieczorów jesiennych, i w izbach, gdzie chorzy zostają, wielce jest pożyteczny. Cały aparat, wraz z flaszką spirytusu, kosztuje 15 fr., a urządzony do podróży 20 frank.«

Dzienniki donoszą, że dla tancerek w Petersburgu i Moskwie obstalowano w Paryżu 1000 par jedwabnych spodni, koloru cielistego, które przedsiębierca jeszcze przed końcem sierpnia dostarczyć powinien.

Karéta z herbami, liberyja suta, zajeżdza przed dom doktora N* w Paryżu. Dama wysiada, wchodzi do salonu; doktor przyjmuje ją z uszanowaniem; dama zdaje się być bardzo smutną, nareszcie prawie ze łzami zaczyna: »Ach doktorze, jestem hrabina S..., ja i mąż mój mamy dostatki, wszystko, co tylko zamyślić można, a jednak nie jesteśmy szczęśliwi, mamy syna jedynaka, któremu rozum pomieszał się, o niczém nie mówi, tylko o brylantach, zapewnie zakochał się w jakiéj awanturnicy; zlituj się doktorze, ratuj go, sowita czeka cię nagroda, i wdzięczność.« — »Bardzo dobrze pani, ale trzeba, abym go zobaczył.« — »Ja ci go przywiozę doktorze, ale pomniéj, że to mój syn, obchodź się z nim dyskretnie i cierpliwie.« Po téj przemowie dama żegna doktora i odjeżdża. Przed jubilierem N. staje karéta, dama wysiada z niéj, wstępuje do sklepu, każe sobie pokazać najpiękniéjszy fermoar i bransolety brylantowe, pyta o cenę, nakoniec godzi takowe za 10,000 czerw. złot.; dobywa pulíares pięknie haftowany, wyjmuje z niego bilety bankowe, liczy, zaledwie jest 10,000 frank.; poczém rzecze do jubiliera: »Nie mam tyle przy sobie, ale jeżeli pan zechcesz jednego ze swoich subjektów posłać ze mną, może w mojéj karecie pojechać do mnie, a mój mąż natychmiast zapłaci.« — »Bardzo dobrze pani.« Dama zabiéra fermoar, bransolety, puliares i pieniądze; siada do karéty, a z nią subjekt jubiliera; zajeżdzają przed dom doktora; dama prowadzi młodego subjekta ze sobą, doktor właśnie jest w swoim pokoju: »Mój przyjacielu, udaj się wćpan w te drzwi, to jest sypialny pokój mego męża, on natychmiast zaspokoi.« Sama wychodzi, siada do karety i znika. Subjekt wchodzi do pokoju doktora: »Czy pani hrabina S... pana tu przywiozła?« — »Tak jest.« — »Czy wćpan wiesz, poco tu przybyłeś?« — »Tak jest, względem tych brylantów.« — »*Satis*, już resztę wiém!« Długo doktor z subjektem certowali się, aż nareszcie po długich tłumaczeniach przekonano się do jak wysokiego stopnia kradzież doszła. Policyja dotąd wyśledzić jéj nie może.

Książę Rohan, ten sam, który jako świadek stawał w procesie Fiescha, przysłał pewnemu paryzkiemu agronomowi olbrzymiéj wielkości kartofel, który ugotowany może 30 osób nakarmić. Książę ten wprowadził gatunek kartofli, znany we Francyi pod nazwiskiem: Rohana kartofle.

Wiadomo zapewnie czytelnikom naszym, że pan Balzac daleko głośniéjszy jest w Paryżu przez swoją laskę, niż przez swoje romanse. Laska bowiem jego jest tak dalece przedmiotem wszystkich rozmów, że znana autorka pani Emilia de Girardin wydała nie dawno romans, pod napisem: »Laska pana Balzac'a.« Laska ta jest arcydziełem w swoim sposobie, machiną, kolosalnéj wielkości. W górnéj części mieści w sobie elegancką, batystową chusteczkę naszego romansopisarza, a w niższych przegródkach, coraz mniéjszych, grzebyk do faworytów, szczoteczkę, piórko do zębów, nożyczki i tysiące innych drobnostek gotowalnianych. Do nie dawnego czasu laska ta była najkosztowniéjszą w całym Paryżu, bo wartowała 1000 frank., lecz teraz najdroższą posiada hrabia V*, gdyż na gałce wprawiony jest dyjamant wartości 6,000 frank.

Pole bitwy pod Waterloo zostało obróconém na uprawę buraków; na ten koniec założono tam fabrykę cukru burakowego.

W Londynie wyjdą témi czasy pamiętniki Luciana Bonapartego, księcia Canino. Jak słychać, mają one zawiérać wiele rzadkich, dotąd nieznanych szczegółów i anegdot; pewien spekulant za odstąpienie onych ofiarował wydawcy 500,000 fr., których tenże przyjąć nie chciał.

Dr. Ditzenburg w New-Orleans zapewnia, że osoby dotknięte ospą naturalną, zakrywając twarz jak inne części ciała, i nie dopuszczając do niéj żadnego światła, ochraniają się od wszelkiego w niéj uszkodzenia; okoliczność tę stwierdził on kilkakrotnémi doświadczeniami.

Otóż nowe odkrycie! coś niesłychanego! Wóz parowy jako machina do tłumaczenia! co lepiéj brzmi po francuzku: *Voiture de traduction à vapeur!* Urządzenie jego następujące: Wóz jest dosyć przestrony, na cztérech kołach osadzone są prassy i kaszty, tuż obok wygodne siedzenie dla tłumacza, który dyktuje, lecz nie piszącemu, tylko zecerowi. Ułożone kolumny porządkuje natychmiast *metteur en pages*, poczém odbijają prasy, kierowane przez małego chłopca. Wóz do tłumaczeń z swoją latającą drukarnią nigdy nie spoczywa, gotowe arkusze rozrzucają się przez okna powozu, który pędzi przez wszystkie kraje.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.